

1. 231 v

BIBLIOTEKA SZKOŁY Powszechniej

9

KAZIMIERZ KONARSKI

WARSZAWA



NAKŁADEM
PAŃSTWOWEGO WYDAWNICTWA KSIĄŻEK SZKOLNYCH
LWÓW — 1933



I. 231
v.

1945 12-45.

I.

SEN STAREGO BORU.

Wiosna. Dołem u stóp wzgórza, a raczej górzystego wybrzeża płynie Wisła szeroka, królewska, wspaniała, od przyływu wód wezbrana, białemi smugami piany, jak koronkami, strojna. Szeroko, na wszystkie strony rozpostarty bór wszędzie prawie rzeki dosięga. Po jednej stronie, jak czarna ściana, wprost prawie z wody wyrasta, po drugiej przepyszny ciemnozielony płaszczem strome brzegi okrywa. Wolny jeno skrawek wybrzeża i na tym skrawku wieś się rybacka schroniła przed borem i wodą. Niskie chatki, sieci trochę rozwieszonych na kołkach i sadów kilka kwitnących.

A tak bór i bór, jak okiem sięgnąć.

Stary, siwy, dobry bór. Umiał on w czasie burzy huczeć, że aż ziemia trzęsła się ze strachu, a wiekowe dęby waliły się z trzaskiem, jak patyki, na ziemię. Ale teraz stał mocny a cichy, radosny a poważny. Wysoko światami chodził wiatr powsinoga, słońcem wygrzany, pachnący żywicą i wszystkimi zapachami wiosny. Pstro

takiemu w głowie, próbował przekomarzać się z borem, tarmosząc za czuby dębów i strzeliste wierzchołki jodeł, ale do środka wtargnąć nie śmiał. Znał mores.

Szumiał bór, śmiał się do słońca, wspominał może młode lata, kiedy to jeszcze słońko mogło poprzez gęstwinę gałęzi i liści przedrzeć się wdół i wyłocić wszystko: i ziemię, i pnie i strumyk, co się, jak lis, między drzewami skrada i przemyka.

A wieczorem, kiedy się słońko do snu ułoży, zdrzemnie się krzynkę i bór, otuliwszy się w miękkie opar wiślany. Długo mu tam spać nie wypada, za stary na to. I ptaszyska różne spać nie dają; sowy nicponie hukają, puhacze się śmieją, czasem i głupia wrona przestraszy się byle czego i wrzasku narobi. Nawet jeleniom — ktoby to powiedział? — psie figle czasem po głowie chodzą i takie ryki wyprawiają, że aż uszy puchną. Można to spać w takim wrzasku?

Przecie i bór zdrzemnie się czasem. I śnią mu się rozmaitości. Kiedyś przyśnił mu się dziwny, dziwny sen. Oto nagle cicha rybacka wioszczyna zaczyna rosnać, rosnać, piąć się ku górze, rozlewać się coraz szerzej i dalej. Domów coraz więcej, a ludzi przy nich mrowie całe, aż czarno dokoła. Już nie wieś, lecz miasto. Wala się najtejsze olbrzymy leśne, tysiącletnie dęby, buki, graby, a na ich miejscu stawiają ludzie domy, pałace, kościoły. Gdzie rozłupana piorunem brzoza stała na rozstaju, gdzie lisia

ścieżka rozbiega się z wilczym tropem, wyrósł nagle, jak z pod ziemi, potężny gród zamkowy. Gdzie na wiekowym dębie jastrząb gniazdo uwił, kościół z ogromną wieżycą.

Rośnie wciąż miasto i rośnie, a drzewa giną i giną.

Szerokimi drogami płyną nowe rzesze ludzi, płyną pieszo i konno, płyną poszóstne, pozłociste karety i kupieckie ciężko ładowne wozy.

Co to? na Wiśle ruch jakiś. Biją pale w dno, aż się głos daleko po fali rozchodzi.

Most, czy co? Most na Wiśle? Dobrze to dla jakiego mizernego strumyka, ale czyżby się poważano skuć królewską rzekę, co więzów nigdy nie znała? Wije się, pieni i skręca z wściekłości zakuta królowa, zbiera wody i raz po raz rzuca je na słupy, ale cóż kiedy słupy z dębów odwiecznych. Niedarmo je bór setki lat hodował. Na swoją zagładę i niedolę hodował.

Zjazd jakiś. Suną znowu karoce, jadą konni, idą piesi. Koło wielkie wszyscy na błoniu za miastem robią. W środku koła szopa, a w niej i przy niej najdostojniejsze postacie, najbielsze głowy i brody, najpiękniejsze stroje i zbroje. Rozgwar stamtąd bije ogromny: radzą, krzyczą, rozprawiają, aż wreszcie krzyk wielki w niebo uderzy. Króla Jegomości wybrali. Na Zamek Najjaśniejszego Pana wiodą.

A miasto rośnie i rośnie. A drzewa giną wciąż i giną.

Znowu inne zjazdy. W zamku zgiełkliwe, kłótniwe, niesfornie. Czasem po długich radach pojedynczy okrzyk jeden straszny słyhać „Liberum veto“. A po nim cisza, okropna grobowa cisza.

Ale niezawsze. Oto zjazd skończył się widać szczęśliwie, król w płaszczu i w koronie idzie na czele pochodu do sąsiadującego z zamkiem kościoła. Miasto się raduje. Iluminacje. Okrzyki. Rozśpiewane tłumy na ulicach. „Wiwat maj ! Trzeci maj“ !

Potem wszystko zaczęło się mącić. Czarna chmura przesłoniła słońce ; na ziemi ponuro ; obcy jacyś ludzie, obce znaki. Od czasu do czasu zrywa się zawierucha. Jesienny wieczór, pożar, strzelanina, walki uliczne, wojsko, armaty. „Do broni ! bracia, do broni“ !

Chmury coraz gęstsze, na skraju miasta wyrastają jakieś straszne mury, forty, kazamaty. Cytadela.

I znów zawierucha, jeno słabsza ; w zimowy wieczór garść straceńców wykrada się poza rogatki miejskie. Pali się ratusz. Jakieś wojska biwakują na ulicach...

Wreszcie huragan, o jakim najstarsze dęby nigdy nie słyzały. Łuny wokoło, łuny w mieście ; rozpełane moce, rozszalała walka, rozlana szeroko pożoga.

Aż wreszcie — jak po burzy — rozbłysło słońce. Nasze kochane słońce.

A gdzieś z bloń podmiejskich poderwał się

ku górze olbrzymi metalowy ptak z białoczerwonym znakiem na piersi i z chrzestem potężnym jał krążyć ponad smukłymi wieżami kościołów, ponad tarasami zamkowymi, ponad kolumną, co jak sosna strzelista inne gmachy przerosła i postać królewską w koronie z krzyżem i mieczem w ręku nad miastem, jak sztandar trzyma.

Zbudził się bór. Wstrząsnął zieloną swą grzywą. Dziwny, dziwny sen!

II.

KOSZTOWNY KLEJNOT.

Gdybyśmy, pożyczwszy sobie skrzydel od orła, sokoła, czy samolotu, wznieśli się wysoko, ponad ziemię polską, zobaczylibyśmy wielką płaską krainę, olbrzymi zielony płaszcz pól i lasów przecięty wspaniałym łukiem Wisły.

Zniżywszy nieco lotu dostrzeglibyśmy, że królewska rzeka spięta jest w jednym miejscu kosztownym klejnotem. Dwa wielkie pozłociste guzy przyszyte są do zielonego płaszcza; poczwórna stalowa, w poprzek rzeki rzucona, łączy je kłamra.

*

*

*

Ten klejnot, to Warszawa. Nie odrazu wyrosła ona na królowe miast polskich, na dostojną stolicę Rzeczypospolitej. Były czasy, kiedy na miejscu dzisiejszych ulic, gmachów i placów

rosła puszcza zielona, czasem wesoło szumiąca, roześmiana, czasem zła, hucząca, biorąca się za bary z wichrem i z wezbraną wiślaną falą.

Niegdyś stanął na tem wybrzeżu człek—rybak. Warsz się jakoby nazywał, z Pomorza pono ród swój wywodził. Upodobał sobie miejsce; zagrodę wybudował. Pomorzanie twardy naród, zawzięty. Próbowala go Wisła zmyć. Nie zmyła. Próbowala go puszcza pochłonać, nie dał się i puszczy, ba jeszcze się jej dał we znaki, wytrzebiwszy spory szmat lasu pod rolę. Zobaczyli warszową zagrodę inni rybacy, spodobała się im także, osiedlili się społem, po sąsiedzku koło niego. Powstała wieś. Wsi dużo w Polsce, powiecie może, i wsiami postaremu zostają, żadna z nich na stolicę nie wyrasta, czemuż ta wyrosła? Różni różnie powiadają. Jedni to opiece książąt Mazowieckich przypisują, którzy wielce łaskawem okiem na tę wieś patrzyli, pierwsi ją miastem i siedzibą swoją zrobili. Inni tłumaczą to położeniem, jako że Warszawa pośrodku ziem polskich leży, na skrzyżowaniu różnych dróg i każdemu do niej, czy z Wilna jedzie, czy ze Lwowa, czy z Poznania jednakowa prawie droga. Jeszcze stolica kraju była w Krakowie, a już król Zygmunt August na sejmie w Lublinie przeprowadził ustawę, że na przyszłość sejmy mają odbywać się w Warszawie, żeby obu połowom państwa polskiej i litewskiej, co się świeżo zrosły, było równie blisko na nie jeździć. W r. 1596 spalił się zamek na Wawelu.

Król Zygmunt III Waza, który wtedy w Polsce panował, stracił dach nad głową. Nie można było królewskiemu pogorzelnicy obmyśleć lepszej siedziby, jak stare nadwiślańskie gniazdo po wygasłym już oddawna książęcym Mazowieckim rodzie.

Dnia 18 marca 1596 zjeżdża do Warszawy z dworem swoim król Zygmunt i od tego momentu Warszawa staje się stolicą kraju.

Stolica kraju. Wielkie słowo. Niema takiego kraju, któryby nie miał stolicy, któryby jej nie kochał, nie strzegł jak oka w głowie, nie bronił przed wrogiem. Ona wiąże cały kraj w jedną całość i odwrotnie cały kraj, cały naród składa swe siły, by zbudować swą stolicę. Czy wzięliśmy zamek warszawski, czy most na Wiśle, czy odsłonięty niedawno pomnik lotników, żadnej z tych rzeczy nikt dla siebie samego nie budował, wszystkie one są zbudowane zbiorowym wysiłkiem ogółu, są własnością całego narodu. I jakkolwiek będzie to obywatel Polski, czy z Gdyni, z Zakopanego, czy z Pińska, może, stanawszy na pięknych komnatach zamku warszawskiego, powiedzieć — moje. Albo raczej jeszcze piękniejsze słowo — nasze.

Takich zbiorowych wysiłków polskiej pracy jest dużo w całym kraju, nietylko w stolicy, ale w stolicy jest ich najwięcej i są one najważniejszą narodową własnością. Tu była siedziba królów polskich, a dziś siedziba Prezydenta Rzeczypospolitej. Tu niegdyś radził i dzi-

siaj radzi sejm, stąd rządził całym krajem i rządzi Rząd całej Rzeczypospolitej. Tutaj zbiegają się z całego kraju drogi handlowe, tu są najwyższe szkoły, najpiękniejsze świątynie.

A w czasach kiedy nad Polską zawisła czarna chmura niewoli, kiedy w Warszawie i w kraju rządził obcy rząd, wtedy wszystkie siły narodu skupione były w tym kierunku, by wydrzeć wrogom stolicę. Wszystkie powstania polskie, ile ich było, u kresu swej drogi widziały zawsze mury wolnej niepodległej Warszawy, wszystkie miały swe pobojowiska w Warszawie. Kościuszkowskie na Starem Mieście pod kościołem Kapucynów, listopadowe pod Arsenalem i na Woli, styczniowe i rok 1905 — na stokach Cytadeli. Niema kąta na ulicach Warszawy, gdzieby nie lała się krew w obronie miasta i kraju. Cała Warszawa otoczona jest jakby okopami — wieńcem mogił żołnierskich, w których leżą obrońcy stolicy, z pod Pragi, Grochowa, Woli czy Radzymina. Ile piosenek żołnierskich śpiewało o Warszawie, ile prostych żołnierskich serc tęskniło za wolną niepodległą Warszawą.

Tęskniło, bo dziś już tęsknić nie potrzebuje, dziś ją już ma, wolną i niepodległą, tę stolicę ziem i serc polskich.

I jakże tu takiego miasta nie pokochać, jeśli się w piersiach nie kawałek drewna nosi, ale poczciwe serce polskie, proste, młode, a gorące.

III.

POŁOŻENIE WARSZAWY.

Położenie geograficzne Warszawy jest bardzo szczęśliwe. Warszawa leży w środku ziem polskich. Jak w gospodarstwie wiejskiem lepiej jest mieć zagrodę w pośrodku pól, a nie u ich granic, tak samo i w kraju najlepiej jest, gdy stolica środkowe ma położenie. Snadziej i tu i tam gospodarz dojrzeć może swego gospodarstwa.

Gdyby kto na mapie Polski, cyrklem zakreślił koło, którego środkiem byłaby Warszawa, a promieniem odległość od Warszawy do Pucka, koło to przeszłoby ze wszystkich prawie czterech stron świata w pobliżu granic Polski. A że Polska leży w środku Europy, więc również Warszawa leży w jednakowej odległości od Portugalji, od Uralu i Grecji i od północnych krańców Bałtyku.

Jasną jest rzeczą, że dla rozwoju miasta ma to ogromne znaczenie. Już oddawna, czy kto jechał ze Lwowa do Gdańska, czy z Wilna do Krakowa, czy jechał sam, czy towary jakie sprowadzał lub wysyłał, zawsze najporęczniej mu było ciągnąć na Warszawę. Dziś środki komunikacyjne są tak udoskonalone, że można, prawie, nie wysiadając z wagonu, przejechać z Paryża na krańce Azji do Władywostoku, a samolotem nieomal jednym tchem przelecieć z Rygi do Aten, albo z Gdańska nad morze Czarne. Wszyst-

kie te linje, czy to powietrzne, czy lądowe przecinają się w Warszawie. Stolica nasza jest już dziś potężnym łącznikiem między Wschodem a Zachodem Europy, i z każdym dziesiątkiem lat pośrednictwo to będzie się potęgowało.

A z pośrednictwa tego płyną dla Warszawy ogromne, nie tylko pieniężne zyski, rośnie jej powaga i znaczenie wśród wielkiej Europejskiej rodziny.

Warszawa już i dzisiaj zresztą nie jest kopcuszką w tej rodzinie. W całej Europie jest tylko siedem miast większych od Warszawy. Liczy ona obecnie (według spisu z r. 1931) milion sto siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców. Gdyby całą ludność wyprowadzić z miasta i ustawić szeregiem, ramię przy ramieniu, wzdłuż toru kolejowego, wiodącego z Warszawy ku Lwowu, to nie starczyłoby miejsca i szereg ów minąłby jeszcze Lwów, by skończyć się dopiero o kilkadziesiąt kilometrów poza tem miastem.

Szerokim kręgiem rozłożyła się stolica po obu stronach Wisły. Większe półkole, zajęła na lewym wysokim brzegu Warszawa, mniejsze na nizinie po prawym brzegu Wisły — Praga. — Wszystko, co było najdosłojniejsze w mieście pięło się zawsze ku górze i stąd na spiętrzonej wzdłuż Wisły wyżynie ciągnie się, jak sznur pereł długi szereg klejnotów Warszawy — Zamek, Stare Miasto i wspaniałe wyrosły z tego korzenia pęd — Krakowskie Przedmieście, i Nowy Świat, wielka, z biegiem Wisły płynąca

najpiękniejsza ulica Warszawy. Na zachód od tej linii ciągną się nowsze dzielnice miasta: Grzybów, Leszno, Wola. Na Woli jest miejscowość, która nazywa się Koło, a która nazwę swoją wzięła stąd, że tam szlachta w czasie elekcji królów tworzyła koło, otaczając szepę, w której rezydował prymas i senatorowie. Nie tak dawno była to jeszcze szczera, położona poza miastem wieś, ale dziś Koło stanowi już jedną z dzielnic miasta Warszawy.

IV.

ZAMEK KRÓLEWSKI.

Zamek. Temu, kto umie czytać nie tylko w starych księgach, ale i w starych murach, wieleby te szerniały od starości cegły i glazy mogły powiedzieć. Od mroków średniowiecza, tkwiącego w granitowych fundamentach i podziemiach zamkowych aż po wspaniały purpurowy płomień sztandaru powiewającego dzisiaj na maszcie zamkowym, wszystkie epoki złożyły swe cegiełki, swe dole i niedole na budowę monarszej siedziby Najjaśniejszego Pana, czy będzie nim Król Jegomość, czy Pan Prezydent Rzeczypospolitej.

Ocierają się o te mury najdonioślejsze wypadki, jakie Polska przeżywała, rzuciły na ten gmach swe blaski — zwycięstwa polskie, swe cienie — klęski. W tych murach sędziwy hetman Stanisław Żółkiewski wiódł przed oblicze

króla Zygmunta III swego dostojnego jeńca, cara moskiewskiego Wasyla. Bodaj w tej samej sali w niespełna dwa wieki później zmartwychwstający z saskiej martwoty naród Konstytucję 3-go maja uchwalał. Ale też i w tych murach rozlegał się od czasu do czasu straszliwy grobowy okrzyk „liberum veto“, z okien tegoż zamku patrzył ostatni król Polski na rzeź Pragi i wkraczające do Warszawy wojska rosyjskie. Potem obcy władcy zamku, miasta i kraju w tychże murach podpisywali wyroki śmierci i wygnania. I tedy, pod temiż zamkowemi murami przesuwiał się w ciągu dziesiątków lat mroczny korowód tysięcznych postaci, które z Cytadeli szły przez most na Pragę i dalej na wschód na daleki, daleki Sybir. Wiele widziały i słyszały mury zamku warszawskiego, zanim w dniu 11 listopada 1918 r. ujrzały zmartwychwstającą z wiekowej niewoli, niepodległą Polskę.

To, co pozostało z surowej książęcej mazowieckiej siedziby, nie występuje dziś nazewnątrz, i kryje się w głębi murów. Dzisiejszy swój wygląd zawdzięcza zamek warszawski dwóm głównie królom, Zygmuntowi III i Stanisławowi Augustowi. Pierwszy z nich przebudował do gruntu stare mazowieckie mury, dodał nowe skrzydła, rozszerzając znacznie cały gmach, zbudował dwie wspaniałe sale, poselską i senatorską, oraz wieżę z zegarem. Od połowy XVII w. zamek zniszczony w czasie „Potopu“ chylił się ku upadkowi. Nie dźwiga go zeń ani król Michał.

ani Sobieski. Zamek wraz z krajem całym idzie od Sasa do Lasa, niszczyje coraz bardziej. Ratuja go trochę Sasi, ale dopiero panowanie ostatniego króla Stanisława Augusta przywraca mu całą dawną świetność i przepych. Na krótko; niebawem zamek stanie się rezydencją obcych, zrazu pruskich potem rosyjskich wielkorządców. Na szczęście zmora ta minęła już bezpowrotnie.

V.

STARE MIASTO.

Do Zamku garnęło się i tuliło od wieków Stare Miasto. Krótkie ciasne uliczki z powrastanemi w domy kościołami, między innemi z archikatedrą św. Jana, przez długie wieki służącą Bogu i ludziom w skromnej godności kolegiaty. Do dostojęństwa biskupiej siedziby został kościół ten podniesiony dopiero po rozbiorach w r. 1797.

Stare Miasto otaczały ze wszystkich stron średniowiecznym obyczajem mury obronne wzniesione jeszcze w XIV w. czyli przed sześciuset laty wspólnemi siłami mieszczan warszawskich i książąt mazowieckich. Mury te, obiegające półkolistą linją całe miasto, wzdłuż Wisły szły prosto. Na rogach murów stały wieże obronne; tam, gdzie mur przecinał ulice, wiodące na przedmieścia, stały potężne, także ufortyfikowane bramy. Rosnące wciąż miasto rozsądziło z czasem te mury tak, że dziś pozostały

nam po nich niewielkie szczątki i półkolista ich dawnym torem biegnąca ulica, Podwale.

Tutaj, na Starem Mieście, gnieździły się wielkie rody mieszczan warszawskich, Baryczków, Drewnów, Fukierów. Niemal każdy zamożniejszy ród miejski miał poza murami miasta, na przedmieściach, swe rozleglejsze lub skromniejsze włości i folwarki, ale ośrodkiem potęgi takiego rodu była zawsze kamienica w rynku, czy też jeśli już na to nie starczyło środków, — w jednej z sąsiadujących z rynkiem uliczek.

Stąd szły w szeroki świat rozmaite sprawy i przedsiębiorstwa handlowe, płynęły wszystkimi wiodącymi z Warszawy i ku Warszawie drogami towary, płynęło coraz szerszą strugą do mieszczańskich kamienic warszawskich złoto.

Miało mieszczaństwo kiedyś szeroki samorząd. Na ratuszu, który ongi stał w rynku Starego Miasta, odbywały się posiedzenia „Rady“, która rządziła miastem i „Ławy“, która sądziła przestępców. W owe czasy karano dużo ostrzej niż dziś i niewiele zbroić było trzeba, żeby się dostać w katowskie łapy na małym staromiejskim placu, Piekiełkiem zwanym. Za mniejsze winy szło się do loszku pod ratuszem, albo pod pręgierz. Pręgierz był to słup drewniany lub częściej kamienny z kółkiem, do którego przywiązywano przestępcę, wystawiając go w ten sposób na widowisko i pośmiewisko publiczne. Do tegoż celu służyły t. zw. kuny albo dyby, wreszcie zwykle mocne klatki. Niekiedy wyra-

biano je podwójnie, żeby można było osadzić w nich dwóch złapanych na bójce rzeźmieszków, albo dwie skłócone przekupki. Deska lub krata dzieliła wtedy zwaśnioną parę, żeby zacieźtrzewieni zapaśnicy nie złęgo zrobić sobie wzajem nie mogli.

Rzemieślnicy i kupcy mieli swoje związki zwane cechami. Były cechy krawców, szewców, rzeźników, złotników i t. d. Każde rzemiosło miało swój cech. Z czasem liczba cechów rosła. W Warszawie w końcu XVIII w. było takich cechów około 40. Miały cechy swoje ustawy, swoje porządki, swoje święta. Nie wolno było krawcowi szyć ubrania, ani szewcowi butów, jeśli nie należał do krawieckiego, czy szewskiego cechu. Wyrastały z takich rzemiosł, a zwłaszcza z kupiectwa, wielkie i w Polsce i poza Polską głośne fortuny. Wyrastali z mieszczan warszawskich bardzo dzielni obywatele kraju, jak prezydent miasta Warszawy w czasie sejmu czteroletniego, Dekert, jak pułkownik kościuszkowskiego powstania majster szewski, Jan Kiliński.

Dziś rynek Starego Miasta odnowiony zewnętrznie w r. 1928 t. j. w dziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości, stał się miejscem wybranem różnych obchodów i uroczystości. W porze letniej jest on punktem zbornym wycieczek, które z całego kraju zjeżdżają się rojnie i gwarnie ku Warszawie i od tego promieniającego przeszłością zakątka zaczynają zwiedzanie stolicy.

VI. POMNIKI I PAŁACE.

Stoi na placu w pobliżu Zamku kolumna wysoka, a na niej postać królewska w płaszczu, w koronie na głowie, z krzyżem w jednym, a mieczem w drugim ręku. Kolumna króla



KOLUMNA ZYGMUNTA.

Zygmunta III., pomnik postawiony twórcy stołecznej Warszawy przez syna jego, króla Władysława IV, w r. 1644.

Wiele jest pomników w Warszawie, ale żaden chyba nie jest tak zrośnięty z miastem, jak ta kolumna. Może dlatego, że najstarszy, że przetrwał wszystkie burze dziejowe, których tyle

przeciągnęło nad Warszawą, a z których każda mogła być go skruszyć tak łatwo. Jeden celny strzał działowy byłby wystarczył.

Przetrwała burze kolumna, tak jak przetrwała je i sama Warszawa.

Król Zygmunt czuwa dalej nad swem miastem. Zwrócony jest twarzą na południe w stronę, w którą najsilniej, najbujniej rozwinęło się zczasem miasto.

Bezpośrednio przed sobą u swoich stóp ma Krakowskie Przedmieście, ów sznur pałaców kapiących od złota i wspomnień. Powstawały te pałace i tu i w całym mieście jak grzyby po deszczu od chwili przeniesienia stolicy z Krakowa do Warszawy w wieku XVII i XVIII. Wszak potrzebowali stałej siedziby w stolicy towarzyszący królowi dygnitarze tak koronni jak litewscy, choćby nawet Warszawa nie była stałym miejscem ich urzędowania. Szeroko zasłynęły po świecie z przepychu swego magnackie pałace warszawskie. Opisywali je swoi i obcy, szumiało w nich życie, czasem pełne dostojnej treści, częściej niestety puste, hulaszczę. Święta, uroczystości rodzinne, wesela, chrzciny i t. p. dawały pole do zabaw i widowisk ciągnących się nieraz po parę dni, do tygodnia. Dwór królewski, zwłaszcza za Sasów, przodował tym festynom, to też za Sasów huczały najgłośniejsze warszawskie pałace, grzmiało najsilniej okropne hasło upadającej Polski: „za króla Sasa jedz, pij a popuszczaj pasa“. Ucztom towarzyszyły

niekiedy łowy, na które dla wygody spędzano zwierza z dalekich puszczy do podwarszawskich lasów.

W r. 1724 odbyło się takie polowanie tuż pod Warszawą, w Marymoncie. Zwierzyny było moc: 44 jeleni, 200 sarn, 80 dzików, 4 żubry, i zajęcy coniemiarą. W r. 1761 urządzono łowy w samem mieście, w ogrodzonym odpowiednio terenie Łazienek i Ujazdowa. Padło znów 8 łosiów, 3 niedźwiedzie. A Polska tymczasem szła na dno.

Piękne pałace warszawskie, choć dodały blasku i pożyły stolicy, ale przyczyniły niejedną troskę miastu i jego gospodarzom. Nowi przybysze, dufni w swe wpływy i bogactwa, nie chcieli się poddać istniejącym w mieście prawom i porządkom. Z wynikających stąd zatargów miasto rzadko wychodziło zwycięsko, a nawet i osiągnięte nad pałacami zwycięstwa kończyły się często na papierowym tylko wyroku, gdy istotne życie szło dawnym, krzywdzącym miastem, torem.

Możnowładcy odmawiali płacenia t. zw. składek, czyli podatków, ściąganych przez miasto na rozmaite własne cele, nadto zaś niedopuszczali przed sądy miejskie swoich poddanych, zamieszkałych na terenie owych rezydencyj. Najprzykrzejszą dla miasta krzywdą było to, że w owych magnackich siedzibach roiło się od różnych „partaczy“, czyli pracujących luzem rzemieślników, niezależnych zupełnie od miej-

skich organizacji cechowych i stanowiących dla rzemiosła cechowego bardzo dotkliwą konkurencję.

Pogorszyło się jeszcze to wszystko, gdy możnowładcy, by zasłonić się przed nieustannymi skargami i atakami mieszczan, poczęli uzyskiwać dla swoich posiadłości prawa „jurydyk“. Jurydyki były to obszary, które na mocy specjalnego przywileju królewskiego miały sobie przyznany własny samorząd i stawały się wobec tego całkowicie lub prawie całkowicie niezależne od władz miejskich. Niektóre z tych jurydyk przybrały nawet nazwę miast jak miasto Grzybów, miasto Leszno, lub miasto Marjensstadt. Oczywiście rzecz, że im bardziej kwitły owe miasta w Warszawie, tem bardziej cierpiało na tem samo miasto Warszawa.

Kres jurydykom położył król Stanisław August w wielkiej reformie praw miejskich z roku 1791. Miasto Warszawa dostało jednolity zarząd, a tylko, dla łatwiejszego jego sprawowania w rozległych już dzielnicach miasta, podzielono je na siedem cyrkułów czyli okręgów.

Dziś pałace warszawskie zmieniły zupełnie charakter; w większości przestały służyć jednostkom, a przeszły w służbę ogółu, państwa, nauki, dobroczynności i t. d...

W dawnym pięknym pałacu Radziwiłłowskim na Krakowskiem Przedmieściu znajduje się obecnie siedziba Rządu Rzeczypospolitej, w pałacu Brühlowskim — Ministerstwo Spraw Za-

granicznych, w dawnej siedzibie Branickich a potem Zamoyskich — Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Ogromny pałac Paca na Miodowej, o którym mawiano, „że wart Pac pałaca, a pałac Paca“, gości u siebie sądy, to samo pałac Krasińskich; w Kazimierzowskim mieści się uniwersytet, u Kazanowskich — Towarzystwo Dobroczynności... Możliwy tak jeszcze długo wyliczać.

VII.

ŁAZIENKI.

Gdybyśmy, ruszywszy Krakowskiem Przedmieściem, przeszli ku południowym dzielnicom miasta, to w ogromnym, starym, ku Wiśle spływającym parku znaleźlibyśmy niewielki ale prześliczny, skąpany w wodzie pałacyk — Łazienki, ulubiona rezydencja króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Sam ją sobie przez długie lata budował. Stworzył cacko jedyne w swoim rodzaju i tak się do tej siedziby przywiązał, że i później po abdykacji, z wygnania już, z Petersburga tęskni za nią. W każdym niemal liście o Łazienki się dopytuje, o wszystkim sobie donosić każe, czy to o wyciętym w parku drzewie, czy o zmianie mebli w pałacu.

Do króla Stanisława Augusta kraj cały, Polska, może słusznie żywić żal za to, że nie zapobiegł katastrofie rozbiorów, a nawet nie wyteżył wszystkich swoich sił, żeby jej zapobiec. Warszawa ma jednak względem tego króla nie-

zapomniane długi wdzięczności. On był jej opiekunem przez lat trzydzieści, on uporządkował prawodawstwo miejskie i dźwignął mieszczaństwo warszawskie z poniżenia w jakim żyło za Sasów. Jemu zawdzięcza miasto utworzenie t. zw. Komisji Dobrego Porządku, która zajęła się



ŁAZIENKI.

oczyszczeniem, uporządkowaniem i wybrukowaniem ulic, sporządzeniem planu miasta, sprawiedliwym rozłożeniem podatków, zaprowadzeniem „porządku ogniowego“. On zniósł krzywdzące miasto jurydyki. On wreszcie przez cały szereg kulturalnych poczynań, z nieśmiertelną „Komisją Edukacji Narodowej“ na czele, wzniecił w stolicy wielki płomień kultury, wiedzy, światła

i miłości ojczyzny i porwał wszystkich obywateli do pracy nad odrodzeniem upadającego coraz niżej w ciemnotę i bezwład narodu. Niestety odrodzenie to przyszło zapóźno.

VIII.

WALKI O WOLNOŚĆ.

Jeszcze na zamku warszawskim siedział król, ale potężniejszym od króla panem miasta i kraju był już wtedy ambasador rosyjski, rezydujący opodal zamku i z rezydencji swej dyktujący Polsce warunki!

Przebrała się miara narodowej hańby i krzywdy. Porwał się do boju Kościuszko, rozbił Moskali pod Raclawicami. Echo tego zwycięstwa rozbudziło Warszawę. Ocknęła się stolica 17 kwietnia 1794 r., strząsnęła z siebie po kilkudniowych walkach nienawistną przemoc moskiewską. Bardzo piękną rolę odegrał w tem powstaniu szary prosty lud warszawski. Doład był lud ten zawsze tylko biernym świadkiem każdej walki o Warszawę, ofiarą łupioną bez miłosierdzia przez każdego nowego okupanta, czy był nim Sas, czy Las, czy Szwed, czy Moskal. Teraz sam stawał do boju o lepsze jutro dla stolicy i kraju. W dniu 18 kwietnia Warszawa zdobyła coś więcej, niż ambasadę rosyjską gen. Igelströma przy ul. Miodowej. Zdobyła świadomość swej roli w życiu narodu.

Powstanie Kościuszkowskie upadło, bo wał-

czyć z dwoma naraz zaborcami było ponad siły narodu. Nastąpiły w mieście obce pruskie rządy. Warszawski, stary, XIV-tego wieku sięgający samorząd rozpedzono. W zarządzie miejskim zasiędlili urzędnicy Niemcy, mianowani przez władze berlińskie, obcy miastu, jego celom i rozwojowi.

Jedyną jasną chwilą w czasie okupacji pruskiej było założenie w r. 1800 Towarzystwa Przyjaciół Nauk, które odtąd przez lat trzydzieści świecić będzie narodowi blaskiem nauki, gdy innego światła zabrakło. Przyszła potem nawałnica Napoleońska, wskrzeszając w r. 1807 Polskę i jej stolicę w postaci Księstwa Warszawskiego, ale księstwo to trwało tak długo tylko, jak długo trwała nawałnica.

W r. 1815 Warszawa zmienia pana, dostając się wraz z nowoutworzonym Królestwem Kongresowem pod berło cesarza rosyjskiego Aleksandra I.

Nie było to berło zrazu tak ciężkie. Na Zamku zbierał się jeszcze sejm polski, na placu Saskim odbywały się przeglądy niezbyt licznej, ale świetnej armji naszej. Kraj i stolica dźwigały się zwolna z wyniszczenia, jakie sprowadziły wojny napoleońskie. W ciągu piętnastu lat Warszawa zakwitła dobrobytem, odżyła, pokryła się siecią nowych lub nowo przebudowanych gmachów użyteczności publicznej.

Stanisław Staszic, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ofiarowuje Towarzystwu wzniezione przez siebie gmach — jeden z najpiękniej-

szych pałaców, jakie Warszawa posiada. Przed gmachem tym stał pomnik Kopernika prosty, spokojny, poważny. Kiedy go odsłanianiano w roku 1830 krążył po Warszawie dwuwiersz :

Wstrzymał słońce, wzruszył ziemię,
Polskie wydało go plemię.

Wspaniałe siedziby dla Banku Polskiego i dla Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu, jak w owe czasy zwano Ministerstwo Skarbu, wznosi minister książę Franciszek Lubecki.

Niedaleko było od tych gmachów do Arsenalu, mocnej jakby fortecznej budowli, gdzie zgromadzone były wówczas dziesiątki tysięcy karabinów, szabel i wszelkiej innej broni.

I niedaleki już był dzień, w którym lud warszawski sięgnie po broń do owego gmachu, by, jak przed niespełną czterdziestu laty, ramię w ramię z żołnierzem polskim pokusić się o wydarcie Rosji największego skarbu, z jakiego nas ona odarła — wolności.

Powstanie listopadowe...

Powstanie listopadowe roku 1830/31 jest ruchem szczególnie silnie związanym z Warszawą. W Warszawie, w Łazienkach pod pomnikiem króla Jana III, zaczęło się ono, w Warszawie odniosło teży nocy pierwsze pod Arsenalem decydujące zwycięstwo, pod Warszawą stoczyło największą w całej tej wojnie bitwę i tamże skonało w pierwszych dniach września 1831 r.

na okopach Woli. Okopy te przy kościółku, którego bronił bohater o drewnianej nodze, generał Sowiński zachowały się po dziś dzień w pierwotnym niemal stanie. Po dziś dzień znaleźć tam można tuż pod powierzchnią ziemi zardzewiałą oficerską ostrogę, kawałek klingi, czy blachę z grenadjerskiej czapki.

Co rok w noc listopadową zaciąga wartę na odwachu przed Belwederem szkoła podchorążych, w historycznych ówczesnych uniformach, na cześć i chwałę tamtej szkole, co się przed stu laty do czynu ofiarnego porwała.

W miejsce świątyni Opatrzności, która ongi jako narodowe votum stanąć miała w stolicy, jako wyraz wdzięczności Bogu za odzyskaną wolność, wyrosła na północnych krańcach miasta ponura, grozą i śmiercią wiejąca cytadela. Gdy w r. 1835 przybył do Warszawy car Mikołaj I i gdy zgłosiła się do niego na posłuchanie delegacja ludności Warszawy przyjął ją następującymi słowy: „Kazałem tu zbudować cytadelę Aleksandrowską i oświadczam wam, że przy najmniejszym zaburzeniu każę miasto zbombardować. Zburzę Warszawę i z pewnością nie ja ją odbuduję“.

Nie zburzył jej to prawda, bo złamana i wyludniona Warszawa nie dała narazie do tego powodu, ale minęło jedno pokolenie i znów Warszawa wraca do życia.

W r. 1863 nie było otwartych walk na uli-

cach Warszawy. Wróg był zbyt silny na to, uczynił z miasta twierdzą, wojsko tysiącami biwakowało na ulicach i placach.

A przecież mimo to Warszawa staje znów na czele ruchu. Tutaj czynny jest Rząd Narodowy, który mimo tak straszliwie ciężkich warunków stwarza i przez półtora roku prowadzi świetnie działającą tajną organizację powstańczą. Warszawa większy posłuch miała dla jego rozkazów niż dla krwawego generał-policmajstra Trepowa, choć ów Trepow miał za sobą wojsko i Cytadelę, a Rząd Narodowy nic, jeno szarą małą, nie zawsze dość wyraźnie odbitą na papierze pieczętkę.

Dnia 5 sierpnia 1864 zawisł na szubienicy pod Cytadelą ostatni wódz powstania narodowego, dyktator Romuald Traugutt.

Znów minęło jedno pokolenie, znów zawrzała Warszawa i znów zaroily się mury Cytadeli. Rok 1905.

A wśród więźniów, którzy przesunęli się przez cele słynnego dziesiątego pawilonu, był Józef Piłsudski, człowiek, który później ujął w swe stalowe ręce los dziejów Polski, a który już wówczas uwierzył w jej niepodległość, uwierzył w chwili, kiedy nad Polską wisała jeszcze głęboka noc niewoli, kiedy nikt prawdziwie uwierzyć w to nie śmiał, albo, co gorzej, uwierzyć nie chciał.

IX.

MOSKALE USTĘPUJĄ Z WARSZAWY.

Przez sto lat blisko rządzą Warszawą siły obce, wrogie wszystkiemu co polskie, obojętne dla losów miasta, często bezmyślne, często nieuczciwe.

Samorząd zniknął już oddawna. W pierwszych latach dwudziestego wieku zaczęto wprawdzie mówić o jego wskrzeszeniu, ale rozmowa ta szła ciężko, bo Moskale chcieli nas obdarzyć takim samorządem, w którym obrady toczyłyby się po rosyjsku i po rosyjsku prowadzona by była korespondencja. Dopiero w roku 1915, już w czasie wojny, rząd rosyjski zdecydował się ustąpić i przyzwolić na wprowadzenie samorządu, a „nawet” na równouprawnienie w nim języka polskiego z rosyjskim. Urzeczywistnieniu wszakże tego dobrodziejstwa przeszkodziło... opróżnienie Warszawy z Rosjan.

Warszawa za rządów rosyjskich nabrała pozorów miasta wschodniego. Stało się to głównie dzięki cerkwiom, budowanym hojną ręką we wszystkich dzielnicach miasta, czy była potemu potrzeba, czy nie. Czasem budowano nowe, czasem przebudowywano. W ten sposób zeszpecono okropnie kościół księży Pijarów na Długiej, albo Pałac Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Na placu Saskim dźwignięto olbrzymi sobór cerkiew, której bizantyjskie złote kopuły widać

było w promieniu kilkudziesięciu kilometrów od miasta. Na ulicach każdy napis musiał być wymalowany w dwóch językach, w ostatnich latach przed wojną zaczęły się mnożyć napisy jednojęzyczne — rosyjskie. Coraz łatwiej było już i w warszawskim tłumie zobaczyć przybysza ze wschodu w charakterystycznej czerwonej „rubaszce“ czyli koszuli.

Oczywiście rdzeń miasta pozostał polskim, ale na jego powierzchni pojawiała się nieznaczną cieniutką warstwą rusyfikacyjnego osadu.

Życia nie mogła zatrzymać w miejscu nawet niewola. Warszawa za rządów rosyjskich rozrasta się z żywiołową siłą, stając się niebawem wielkim, miljonowym miastem. Tworzą się wielkie dzielnice. Gospodarka miejska staje się coraz trudniejsza. Rosną potrzeby. Miasto trzeba skanalizować, oświetlić, zaopatrzyć w żywność, w wodę, dać coraz rozleglejszym przestrzeniom tanią, a dobrą komunikację, połączyć oba brzegi wiślane mostami.

Zarząd miasta boryka się z temi trudnościami, jak umie. Umiał by może lepiej, gdyby się nie czuł obcy na gruncie warszawskim. Wykonałby niejedno lepiej, gdyby z losami miasta łączyły go własne zamiłowania, gdyby źródłem jego władzy był nie rozkaz cesarski, ale zaufanie współobywateli, wyrażone w wyborach do samorządu miejskiego. Ogromnie wiele energii i pieniędzy pochłaniał policyjny system rządów

rosyjskich. Policja była w stolicy wszystkim. Na policję wydawało miasto Warszawa w początkach dwudziestego wieku dwa razy więcej, niż na szkoły. W Berlinie, w tym samym mniej więcej czasie, wydatki policyjne były 4 i pół raza mniejsze, niż wydatki szkolne.

Dopóki nad miastem i nad krajem ciążyła moskiewska przemoc, wszelka zasadnicza zmiana warunków życia miejskiego była nie do pomyślenia.

Dnia 5 sierpnia 1915 ustąpiły na Pragę ostatnie oddziały armji rosyjskiej, by nie powrócić więcej.

Wślad za ustępującym okupantem wkraczał od strony wolskich rogatek drugi. Przychodził z Zachodu, z kraju gdzie idea samorządu rozwinięta już była tak bujnie. Czekają Warszawę jeszcze całe trzy lata głodu, nędzy i upokorzeń doby okupacyjnej niemieckiej, ale jedno się przynajmniej zmieniło. Warszawa przestaje być biernym tylko świadkiem tego co się w mieście dzieje. Od lipca 1916 uzyskuje samorząd i bierze na swe barki część odpowiedzialności za dalszą gospodarkę miejską. Pierwszym krokiem odrodzonej po stuletniej przerwie Rady Miejskiej będzie — rzecz znamienne — uchwała o zaprowadzeniu w stolicy obowiązkowego powszechnego nauczania.

X.

POŻOGA OFIARNYCH SERC.

Niezapomniana to była chwila, gdy dnia 11 listopada 1918 roku otworzyły się nagle przed Warszawą wrota wolności. Na gmachach rządowych zakwitły po raz pierwszy biało-czerwone sztandary, z ulic miasta znikły ostatnie okupacyjne mundury, rozbrojone przez warszawskie dzieci, z dworca kolejowego rozległ się gwizdek pierwszego polskiego pociągu. Na ulice Warszawy wypłynęły pierwsze polskie oddziały wojskowe, zbieranina pstrokato odziana, pstrokato uzbrojona, każdy w innym mundurze, ale wszyscy z jedną i tą samą pieśnią w duszy.

Ocenić, czem była ta chwila, może w pełni tylko ten, kto pamięta niewolę!

Od tej chwili po dzień dzisiejszy, stworzono rzeczy, które zdawały się niewykonalne. Warunki pracy mieliśmy i w kraju i w stolicy niezwykle ciężkie. Miasto po czterech latach wojny i okupacyjnych rządów niemieckich było wyczerpane do ostatecznych granic, ogołocone z wszelkich zasobów. A wszakże wojna, która dogorywała na całym świecie, w jednej tylko Polsce nie wygasła, przeciwnie rozpaliała się coraz straszliwszą łuną bolszewickiej pożogi, która w półtora roku później podsunąć się miała pod same mury stolicy.

Ale równocześnie w Warszawie rozpaliała się inna pożoga. Pożoga ofiarnych serc narodu,

ofiarnych serc szarych, czy raczej wciąż jeszcze pstrokatych żołnierzyków naszych, którzy raz jeszcze, jak tyle już razy przedtem, pod Pragę, Grochowem, czy Wolą postanowili zasłonić i zasłonili swą mogiłą umiłowaną stolicę. Potęgą ich było to, że czuli za sobą naród, czuli wodza.

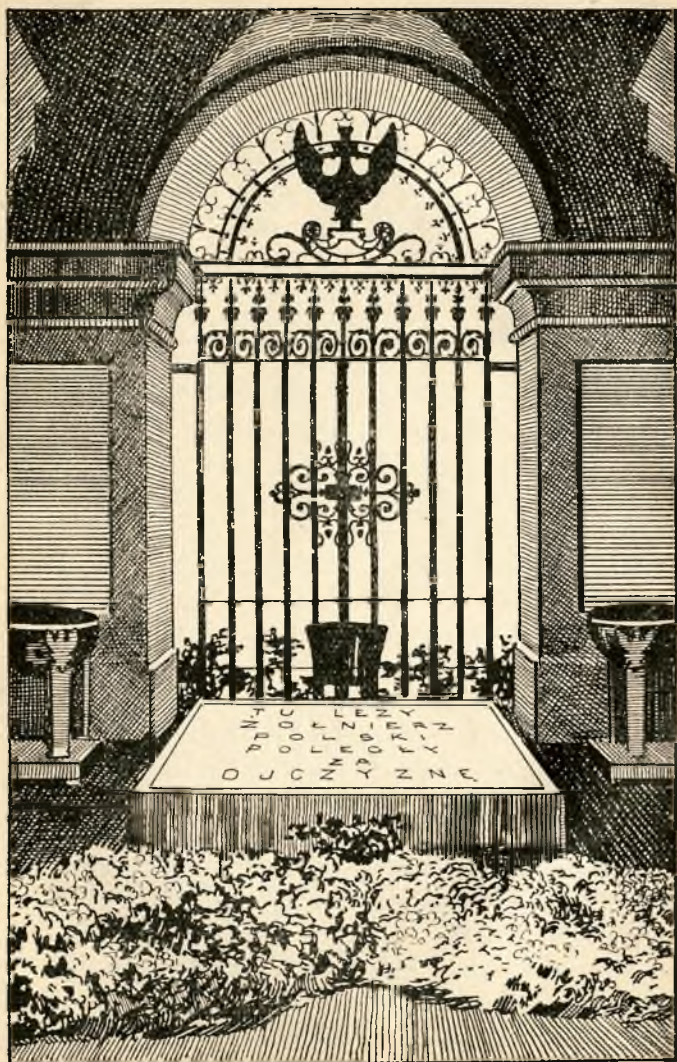
Potęga ta sprawiła, że nie tylko obronili stolicę, ale porazili wroga na głowę.

Nastaly lata pokoju. Warszawa z całym rozmachem jęła się pracy nad gruntowaniem podstaw wewnętrznej mocy państwa, którego granice wyrębał szabłą żołnierz polski.

Jako milionowe miasto i jako stolica zgórą trzydziestomiljonowego państwa, Warszawa, otrząsnawszy się z resztek niewoli, rośnie z żywiołową siłą wszerek i wzwyż.

Znikły ostatnie symbole przeklętej minionej doby, cerkwie, pomniki stawiane ku pohańbieniu Polski carskim sługom.

Przybywają nowe dzielnice. Rozwój ich nie jest już, jak za czasów rosyjskich, dziełem bezmyślnego przypadku. Wszystkie one objęte są teraz jedną myślą przewodnią, jednym planem regulacyjnym miasta. Plan ten wyznacza każdej z dzielnic obszar i charakter, czy będzie to port wiślany, czy fabryczne rejony Pragi, czy wille zabudowane Mokotów lub Żoliborz, czy handlowe dzielnice śródmieścia. Coraz więcej ludzi wyprowadza się z dusznego, zadymionego centrum miasta na przedmieścia, gdzie więcej



MOGIŁA NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA.

przestrzeni, powietrza, słońca. Coraz szerzej i szerzej rozlewa się miasto.

Przybywają nowe pomniki. Na najpiękniejszym placu jaki miasto nasze posiada, na placu Marszałka Piłsudskiego, wyrosła „Mogiła Nieznanego Żołnierza“, prześliczny w swej prostocie pomnik-grób tego, któremu Polska swe zmarłychwstanie zawdzięcza. Mogiły tej strzeże inny pomnik, także żołnierza; żołnierza któremu Pan Bóg honor Polaków powierzył i który Bogu ów honor oddał. Nad Wisłą frontem ku wschodowi stanął z podniesionem dumnie czołem Dowborczyk. Na placu Unji Lubelskiej dźwignięto niedawno pomnik orłów polskich, lotników. Choć pierwsza myśl narodu zwróciła się ku tym, którzy zań życie swe dali w ofierze, to jednak nie samym tylko żołnierzom stawiała Polska w Warszawie pomniki. Najokazalszy pomnik powojennej doby postawiono Fryderykowi Chopinowi, mistrzowi, który dokonał cudu wcielenia duszy polskiej w muzykę.

Przybywają nowe gmachy, jedne wspanialsze od drugich. Przebudowuje swą ciasną i niewygodną siedzibę Sejm Rzeczypospolitej. Wznoszą wspaniałe pałace Ministerstwa, Banki. Buduje kolej tunel przez całe miasto. Rosną olbrzymie gmachy szkolne. Niektóre z nich, jak np. szkoła tramwajowa, mogłaby się równać każdej europejskiej szkole. Gmach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, odbudowany według dawnych wzorów wrócił do tradycji z przed wieku i jest

dzisiaj siedzibą Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Rosną instytuty naukowe, zakłady, laboratorja, stacje radjowe, muzea, teatry...

Przybywają nowe fabryki. Właściwie przybywały nie przybywają, bo fala kryzysu wstrzymała niestety cały rozmach osiągnięty w tym względzie przez parę ostatnich lat. Rezultaty tego rozmachu można było ocenić na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu w r. 1929.

Przybywają wreszcie nowi ludzie. W r. 1914 w szkołach powszechnych warszawskich uczyło się niespełna trzydzieści tysięcy dzieci. W r. 1927/8 liczba ta rośnie do siedemdziesięciu pięciu tysięcy, a łącznie z młodzieżą szkół średnich i wyższych sięga cyfry stu dwudziestu tysięcy. Ta młoda armja zdecyduje kiedyś o losach Warszawy.

Od was Dzieci i Młodzieży Polska zależeć będzie, jakim Warszawa będzie miastem i jaką stolicą.

